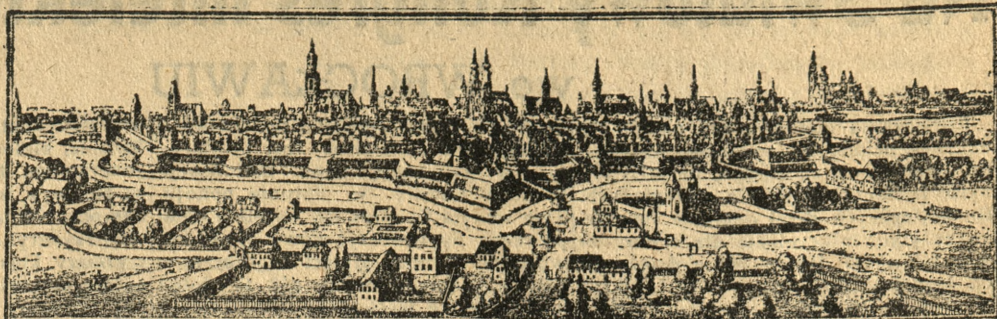


Świat

Ilustrowany dodatek tygodniowy,
Nr 34 Głosu Wielkopolskiego

STOLICA DOLNEGO ŚLĄSKA, leżąca na skrzyżowaniu licznych szos i szlaków kolejowych, należy do najstarszych miast Słowiańszczyzny. Podobnie, jak znana Ptolemeuszowi Calissia — Kalisz, sięga zapewne wiekiem swoim początków chrześcijaństwa. Nazwę swą zawdzięcza miasto nieznanemu nam z historii Wrocławowi, a pierwszą wzmiankę historyczną spotykamy u Dytmara (około r. 1000).

Zamieszczona obok rycina przedstawia widok miasta na początku XVII stulecia.



Wrocław — stolica kulturalna Ziemi Odzyskanych

Po ostatniej wojnie o dwu miastach najwięcej mówi się w Polsce: o Warszawie i Wrocławiu. Pierwszą wspólnym wysiłkiem całego narodu dźwigamy z ruin budując pięk-

niejszą aniżeli była dotychczas. Drugi jest dla nas symbolem piastowskich ziem. Jest on jednak czymś więcej aniżeli tylko symbolem — stanowi świadectwo i rzeczywisty próbiez naszej gospodarki na odzyskanych ziemiach.

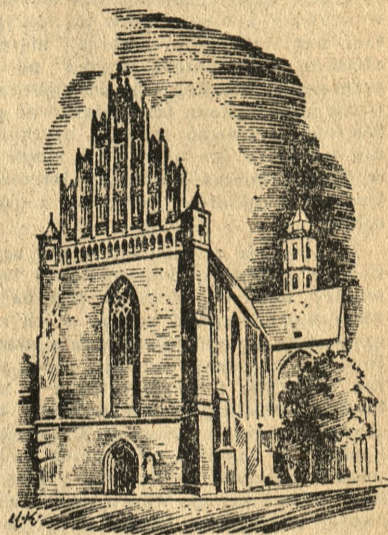
Bo tak być musiało. Wrócić do Wrocławia, Szczecina czy Gorzowa znaczyło nie tylko odbudować fabryki i domy mieszkalne, ale otworzyć szkoły, założyć muzea, wystawić polską sztukę w polskim teatrze. Są to proste na pozór i zwykłe sprawy, z którymi wrostamy od dziecka. Tylko, że w warunkach wrocławskich czy szczecińskich były to problemy niejednokrotnie przerastające ludzkie możliwości.

tychczas w Polsce nie spotykany, jednoczący mianowicie w całość uczelnianą nauki humanistyczne i matematyczne, uniwersytet i politechnikę.

Dorobek trzech lat

Uniwersytet to tylko jedno z ognisk nauki wrocławskiej. Drugie nie mniej potężne stanowi Ossolineum, przeniesione tu niemal w całości. Ten żywy ośrodek życia naukowego o wielkich tradycjach znalazł we Wrocławiu sprzyjające warunki do dalszego rozwoju i dziś już staje do „współzawodnictwa” z Krakowem. Jeszcze jedna cecha przynależy Ossolineum do odegrania wielkiej roli na Ziemiach Odzyskanych. Znajdują się tu niezmiernie cenne zbiory dotyczące Mazur, Warmii i Pomorza, które zgromadził jeden z poprzednich dyrektorów Zakładu, Wojciech Kętrzyński, sam pochodzący z Pomorza Mazowieckiego.

swą działalność w prawdziwie pionierskich warunkach, istnieje Wyższa Szkoła Muzyczna. Nie można także pominąć Opery Dolnośląskiej, która zaczęła grać w wypożyczanych kostiumach, aby w krótkim czasie rozwinąć się w placówkę zyskującą coraz większe uznanie. Istnieje również Filhar-



Wśród wielu zabytkowych świątyń Wrocławia wyróżnia się piękny kościół św. Wojciecha, zbudowany w XIII w.

Stara i nowa historia

Kiedy wypowiadamy to słowo: „Wrocław”, kojarzą się nam w myśli znane z historii fakty. Trudno jednak w artykule przedstawić dzieje Piastów Śląskich, zmaganie się żywiołu polskiego z niemieckim. Warto jednak wspomnieć, że już Dytmar, kronikarz niemiecki, pisząc o Zjeździe Gnieźnieńskim w roku tysięcznym, podaje, iż cesarz Otto III zatwierdził prawnie obsadzenie przez Bolesława na nowym a zależnym od metropolii gnieźnieńskiej biskupstwie we Wrocławiu, biskupa Jana. Wrocław wzrastał od zarania w Polsce, i w walce o niego ponieśli klęskę Niemcy w bitwie na Psim Polu. Wemy jednak, że w końcu niemieckie mieszczaństwo opanowało miasto, a później utraciliśmy cały Śląsk wskutek nieudolnej polityki książąt śląskich.

Stare to dzieje, historia. Wskazuje jednak ona na miejsca, gdzie panowaliśmy przed wiekami.

A dziś? Dzisiaj my stwarzamy nową historię polskiego miasta Wrocławia. Rzeczywistość ta, to prawie 300 000 mieszkańców, to odbudowane dziesiątki fabryk, zakładów przemysłowych, to rozrastający się handel. Każdy z mieszkańców Wrocławia z dumą wyliczy: Państwowa Fabryka Wagonów, która wypuściła już znacznie powyżej 10 tysięcy nowych wagonów towarowych, fabryka wodomierzy — znajdująca chętnych odbiorców w całym świecie, „Awag” — największy Powszechny Dom Towarowy w Polsce, port i stocznia nad Odrą, dworce kolejowe.

Gdyby Wrocław pozostał jedynie tym czym już jest — wielkim centrum przemysłowym i handlowym oraz ważnym węzłem komunikacyjnym — to wystarczyłoby by całkowicie, ażeby stwierdzić niezbicie, że miasto to stoi w szeregu pierwszych w Polsce. Ale to wszystko mało dla tego dziwnego miasta. Dziwnego, gdyż wiele w nim cech Warszawy; a warszawska gwara brata się tu z lwowską, choć nie brak tu i Poznania i emigracji z zachodu. Ten zlepek ludnościowy, w ciągu ostatnich trzech lat w codziennym trudzie wytworzył nowy typ człowieka, człowieka, który wiele chce, wiele może i wiele dokonuje.

Uniwersytet na ruinach

Wrocław ma wielkie aspiracje. Dąży do tego, aby stać się stolicą Ziemi Odzyskanych, punktem koncentrującym wszelkie przejawy życia. Tak jak Warszawa czy Kraków. Czy to mu się uda? Osiągnięcia są już widoczne.

Kiedy w walce oswobodziliśmy Ziemię Zachodnią, wszędzie zastaliśmy ruiny. Ale razem z naszymi frontowymi oddziałami szły forpoczątki nauki polskiej, szli ludzie, którzy właśnie na tych ruinach rozpoczynali walkę o stworzenie nowych ośrodków kultural-



Herb miasta Wrocławia

Trzeba było ludzi pracy pełnych samozaparcia i umiłowania celu. Znaleźli się tacy ludzie.

Od roku 1945 Wrocław szybko przekształca się w potężny, równy niemal Warszawie czy Krakowiu, ośrodek naukowy. Zawdzięcza on to przede wszystkim temu, że tu przeniesli się profesorowie Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki, Instytutu Weterynarii. Kadry więc były. I te siły już w pierwszym roku szkolnym 1945 — 1946 skupiły na uniwersytecie i politechnice 3100 studentów, uruchamiając 11 wydziałów ze 184 katedrami. Teraz piszemy po prostu: uruchomiono, utworzono. Trzeba jednak wyobrazić sobie zniszczone i wypalone miasto, wielką ilość nierepatriowanej jeszcze ludności niemieckiej i liczne braki zaraz bezpośrednio po ukończeniu działań wojennych, aby uprzytomnić sobie dokonany wysiłek.

Obecnie sale wykładowe pełne są młodzieży. Jedyny uniwersytet Ziemi Odzyskanych kształci rzeszę fachowców, stwarzając nowy typ uczelni, do-

Już Uniwersytet i Ossolineum wystarczyłyby, ażeby Wrocław uczynić ważnym ośrodkiem kulturalnym. Są jednak jeszcze i inne zakłady, które trzeba wyliczyć.

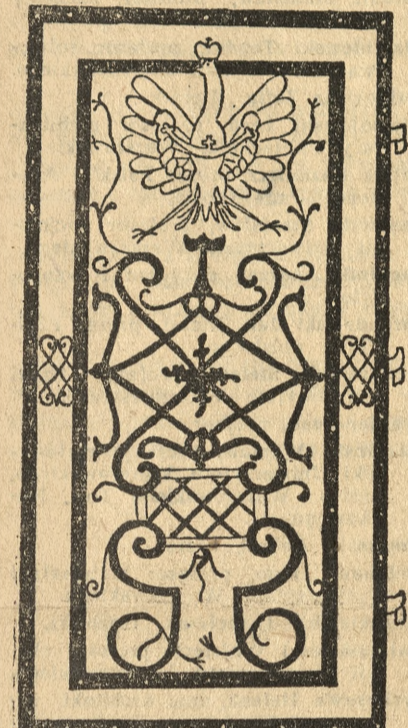
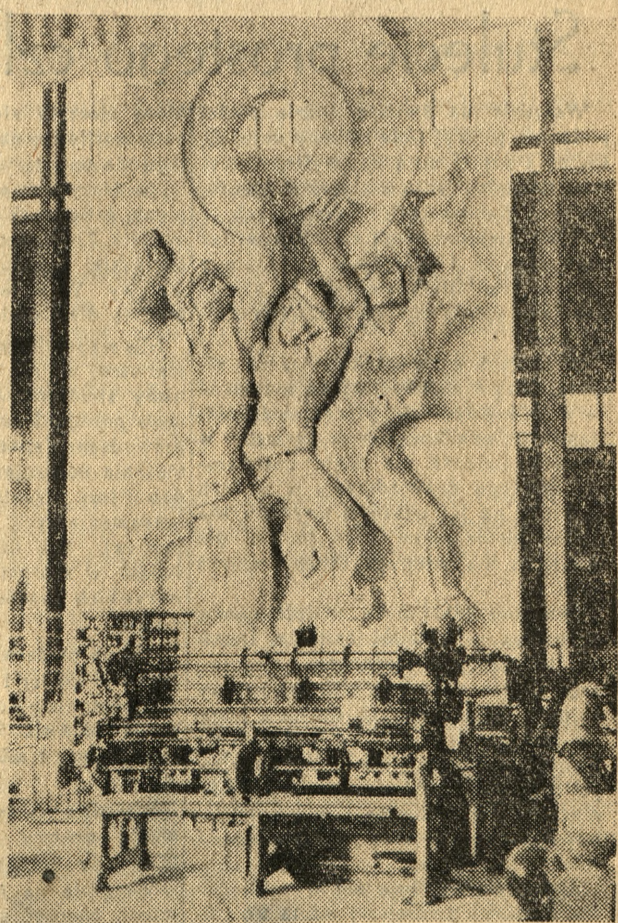
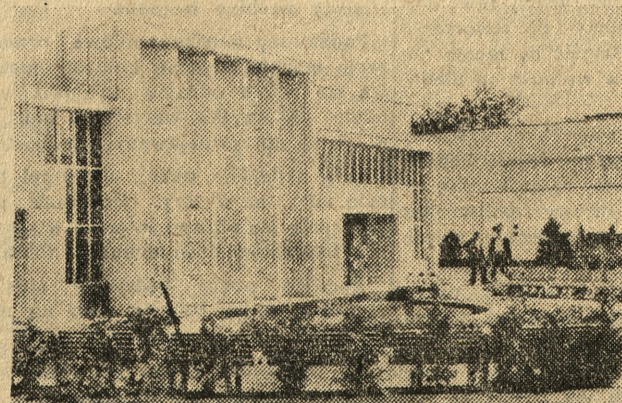
Obok Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych, która rozpoczęła

WYSTAWA ZIEMI ODZYSKANYCH we Wrocławiu, skupiająca uwagę całej Polski jest przeglądem 3-letniego dorobku pracy polskiej na Ziemiach Zachodnich.

Ilustracja obok przedstawia rzeźbę prof. Potrawiaka, symbolizującą prężność polską. Na pierwszym planie — warsztaty tkackie.

Poniżej — widok na pawilon Centrali Handlowej Przemysłu Metalowego.

Fot. (2) Agencja Ilustr. „API”



Ręcznie kuta brama żelazna z orłem piastowskim przy jednej ze starych kamienic wrocławskich

Elżbieta Milanczówna

Grunwaldzki Most

Nad kanałami obłoki — drzewa obłoki zielone na wodę wiatr zgania miękkie gdzie dzieci dzieci różowe i białe w gejerach z dna wybucha — w słońcu dzieci na mieliznie nagie.

A dalej to są kościoły: Święty Krzyż i Katedra Na Piasku i Święta Jadwiga i jeszcze wiele innych świątyń których nie poznaje bo tu nad kanałami są nazbyt kamienni i ciężcy w rzeźbionych fałdach.

Przychylnie są dzieciom mury zburzonych kościołów, gdy śmiech sięga ciężkiej wieży katedry.

I dalej robotnicy odbudowują Grunwaldzki Most bo tak się już teraz dzieje że Grunwald jest tylko wtedy, gdy twarde przęsa podnosi ludzka bezbronna ręka.

Miasto jest jeszcze dalej nad wodą czerwona cegła i niebo niebo w oknach pojaśniałych.

Ale bliżej także przeszła w niebieskiej sukience lekka. Dookoła wiatr okręca błękitną chorągiewkę: sygnalizuje... sygnalizuje... pokojowy nalot jaskółek.

I już nie ma chyba nic więcej, wszystko: to dzieci i woda drzewa, dziewczyna, kościoły — koniec. I tylko dalej robotnicy odbudowują Grunwaldzki Most.

— Świetnie to urządziłeś, Ben! — pochwalił go Robin.

— Bardzo żałuję, że nie było mnie z tobą — wtrącił Will Dostojny. — W dwójkę wyłapałibyśmy w ten sam sposób wszystkich wartowników. Wyobrażam sobie, jak szeryf byłby wtedy wystraszony.

Will spojrzął na Tila, badając, czy kolega ocenia należycie jego bohaterstwo. Ale Til podrapał się tylko z zakłopotaniem po głowie. Natomiast inni towarzysze wybuchnęli śmiechem na te przechwałki i poczęli kpić z Willa i z jego zuchowatej pozy.

— Niedługo będziesz miał sposobność, Willu, porwać nie tylko kilku prostych strażników, ale bodaj samego szeryfa. Tylko patrzeć, jak on się tu zjawi...

Will zaniepokoił się lekko. Nie miał przecież zamiaru porywać szeryfa... Nie chcąc jednak wystawiać na szwank swej opinii, mruknął nadrabiając miną:

— Zobaczymy, zobaczymy!

Tym jednak wzbudził uznanie i podziw tylko u pocziwego Tila.

Nie zdążyli obrońcy dworu Partridge skończyć śniadania, gdy z wieży strażniczej rozległ się dźwięk rogu myśliwskiego. Było to umówione hasło, które znaczyło: „Wróg się zbliża!”

— Hej, towarzysze, na stanowiska! — zawołał Robin Hood, zrywając się od stołu.

Przypinali żywo miecze, chwyтали tarcze, łuki, samopały i wybiegali żywo z domu. Każdy dążył na wyznaczone mu z góry miejsce przy ostrokołe.

Robin Hood pobiegł do wieży strażniczej i wdrapał się po drabinie na górny pomost. John, który pełnił tutaj wartę, milcząc wskazał na drogę od strony lasu. Posuwał się nią ku dworowi duży, zbrojny oddział. Czoło oddziału znajdowało się w odległości mniej więcej mili od dworu, a tyły nie wysunęły się jeszcze z lasu. Przodem postępowało kilkunastu łuczników w barwach, noszonych przez strażników szeryfa. Za nimi jechało kilku konnych. Bystry wzrok Robina rozeznał wśród nich opasłą postać szeryfa. Za jeźdźcami posuwał się oddział główny, złożony, licząc na oko, z siedemdziesięciu, osiemdziesięciu ciężko uzbrojonych żołnierzy. W porannym słońcu lśniły ich hełmy, pancerze i tarcze. Pochód zamykało kilka wozów, wyładowanych żywnością, namiotami, zapasową bronią. Wozy otaczało kilkunastu uzbrojonych pachołków.

Szeryf uczcił nas nie byle jak! — zauważył, przyglądając się bacznie oddziałowi. — Z taką siłą pokusiłbym się o zdobywanie zamku Nottingham. Coś mi się zdaje, że na wozach są również tarany, wielkie samopały i inne maszyny oblężnicze.

— Myślę, że Partridge jakoś to wytrzyma — odrzekł z uśmiechem John.

— Ba! Żeby to cała moja banda siedziała tu, za ostrokołem. Dalibyśmy im porządną nauczkę! Ale i tak, dobrze poszczerbią sobie zęby, zanim nam dołączą.

Śledzony czujnie przez kilka par oczu zza częstokołu, oddział szeryfa zbliżył się do dworu na dobre dwa stajania, po czym zatrzymał się na drodze. Teraz szeryf wyjechał na czoło i począł wydawać rozkazy. Pachołkowie zdjęli z wozów załadowane na nich, jak słusznie domyślał się Robin Hood, maszyny oblężnicze. Był tam taran, służący do rozwalania bram oraz wielki samopał, z którego można było wyrzucać duże, kilkunastofuntowe kamienie.

Konstrukcja samopału oparta była na zasadzie dźwigni dwuramiennej.

Krótsze ramię, w kształcie łyżki, w której umieszczano się kamień, opuszczone było w dół, — dłuższe sterczało w górę. Gdy kilku pachołków, szarpiąc za przywiązane do dłuższego ramienia sznury, ściągało je gwałtownie ku ziemi, — krótsze ramię podskakiwało w górę, a umieszczony w nim kamień wylaływał z siłą w powietrze, zakreślał łuk i całym ciężarem walił w oznaczony cel. Ta konstrukcja umieszczona była na wózku, który podwożono pod cel na odległość strzału.

Wystrzał z samopału był sygnałem do rozpoczęcia bitwy. Szeryf nie próbował nawiązywać jakichś negocjacji, ani — choćby dla formalności — wyjaśniać przyczyn i celu najazdu. Po prostu wydał rozkaz oddania pierwszego strzału.

Dwaj pachołkowie umieścili duży kamień w wyrzutni. Na skinienie szeryfa obsługa samopału podjechała wózkiem na odległość kilkunastu kroków do ostrokołu, pociągnęła zgodnie za sznury i groźny pocisk poleciał w stronę bramy.

Zdawało się, że cały ostrokoł zadrżał od tego uderzenia. Stara, ciężka brama jęknęła boleśnie. Robin, obserwujący to z wieży, chwycił za róg myśliwski i zagrał pobudkę wojenną. Na to hasło ze wszystkich strzelnic posypały się strzały na pachołków, umykających z samopalem na bezpieczną odległość. Kilka strzał dogoniło uciekających. Jeden pachołek chwycił się z jękiem za pośladek, drugi za ramię, trzeci, któremu strzała wbiła się w plecy, zwałił się na ziemię.

Zza ostrokołu rozległ się triumfalny okrzyk:

— To ja! To ja! To ja przestrzeliłem mu pośladek — wykrzykiwał, zapominając o swej dostojności Will, i wyskakiwał radośnie z uciechy.

Mimo niezbyt wesołej sytuacji oblężeni nie mogli powstrzymać się od śmiechu, patrząc na grubasa tańczącego z gracją młodego niedźwiadka.

— Drugi strzał! — krzyczał szeryf.

Na miejsce rannych stanęła nowa obsługa i samopuł, powtórnie załadowany, ruszył znów na pozycję. Ale obrońcy ostrokołu czuwali. Na obsługę katapulty posypały się gęste strzały z łuków. Pachołkom nie starczyło odwagi, aby podejść blisko. Wyrzucony kamień nie doleciał do celu.

Szeryf zorientował się, że samopułowi należy dać ochronę. Wydał nowe rozkazy. Okuci w żelazo żołnierze ruszyli do szturm. Tarczami osłaniali się od strzał. Za nimi posuwali się łucznicy i kusznicy, a wreszcie ciągnięto taran i katapultę.

Rozpoczął się szturm do bramy.

Robin Hood zdawał sobie sprawę, że brama nie wytrzyma długo. Ale dłuższa jej obrona nie leżała w jego planie. Rozkazał obrońcom wycofywać się kolejno za drugi ostrokoł, wyższy i mocniejszy od pierwszego.

Rozkaz wypełniony został szybko i sprawnie. Podniesiono most zwodzony nad rowem, zatarasowano bramę. Obrońcy stanęli na nowych stanowiskach.

Pierwsza brama pod ciężkim obstrzałem i uderzeniami tarana pękła wreszcie z hukiem. Wydając okrzyki triumfu, atakujący rzucili się w utworzoną wyrwę. Dopiero znalazłszy się za ostrokołem stwierdzili, że pokonana została dopiero jedna, najmniej umocniona przeszkoda. Przed nimi był drugi częstokół, jeżący się niebezpieczeństwem ukrytych za nim łuków i kąśliwych strzał.

Szeryf wjechał w bramę. Jednym rzutem oka objął sytuację. Zdecydował, że należy natychmiast wyzyskać zapal pierwszego zwycięstwa.

— Naprzód! Do szturm! — krzyczał. — Skończymy od razu z tym kur-nikiem.

Żołnierze skoczyli do ataku. W zapale skacząc kilku wpadło do rowu. Inni, ostrzeżeni, zsuwali się doń powoli, aby przejść po dnie i wydrapać się na drugą stronę.

Na ten moment czekał Robin Hood. Dał znak Ryszardowi, który czuwał przy stawidłach. Ten, przy pomocy kilku wieśniaków, zwolnił sztuczne zapory, odgradzające rów od rzeczki. Silnym nurtem woda chlusnęła do rowu i szybko zaczęła go wypełniać. Na przerażonych żołnierzy, grzebiących się w rowie, uderzyły nagle rwące fale. Rozległy się wystraszone krzyki. W panice drapali się po stromych ścianach rowu, błagając stojących jeszcze na brzegu towarzyszy o ratunek. Woda wzbierała szybko, sięgając im po kolana, po pas, po szyję, wreszcie zmuszając do pływania, co nie było łatwe w ciężkim uzbrojeniu. A tymczasem zza ostrokołu na zmoczonych, wylażających z rowu żołnierzy sypały się strzały i kamienie.

Szeryf ze złością musiał stwierdzić, że zdobycie dworu Partridge od jednego zamachu zupełnie mu się nie udało. Kazał trąbić odwrót.

Trzeba było zdecydować się na formalne oblężenie. Żołnierze otrzymali rozkaz rozbitcia obozu, rozstawiania namiotów i przygotowania się do powolnego zdobywania dworu Partridge. Robin Hood zarządził, że połowa ludzi może zejść ze swych stanowisk obronnych i udać się na obiad.

ROZDZIAŁ XIV

opisujący krótkie, ale ciężkie chwile dworu Partridge

Cały tydzień trwało już oblężenie dworu Partridge. Żołnierze szeryfa stracili całkowicie pierwotny zapal, bowiem upływający czas nic nie poprawił sytuacji, nie posuwał ich ani na krok do zwycięstwa. Otoczony ze wszystkich stron wodą, dwór wydawał im się całkiem niedostępny.

Dwa razy już szeryf przypuszczał starannie przygotowane szturm. Kazał naciąć w lesie drzew, ich pnie, jako kładki, przerzucić przez rów i w ten sposób ominąć pierwszą zaporę. Ale za wodą wznosił się ostrokół, a za ostrokołem czuwali obrońcy.

Samo przerzucenie pni przez rów powodowało duże trudności. Żołnierze musieli to robić pod gęstym obstrzałem. Pnie były ciężkie, a przerzucony już na drugi brzeg koniec pnia obrońcy spychali kijami do wody i całą robotę trzeba było zaczynać od nowa.

Gdy wreszcie żołnierze przedostali się na drugi brzeg i zaatakowali ostrokół, okazało się, że nie jest łatwo przedostać się przez niego na drugą stronę. Na atakujących połała się wrząca woda, posypały kamienie, raziły ich strzały, sypiące się z wieży. Żaden z żołnierzy nie potrafił wdrapać się na ten drewniany mur obronny.

Do drugiego ataku szeryf kazał przygotować drabiny, aby po nich wdzierać się na ostrokół. Ale i to okazało się niełatwym zadaniem. Obrońcy przeżyli wprawdzie bardzo ciężkie godziny przy tym szturmie. Wszyscy, kto żył we dworze Partridge, stanęli do walki, nawet kobiety i dzieci.

Szeryf bardzo starannie przygotował atak. Łucznicy, rażąc strzałami wychylających się zza osłony obrońców, wspierali z daleka atak. Reszta, niosąc drabiny, biegła po kładkach pod ostrokół. Niejeden żołnierz zwałił się przy tym do wody razem z drabiną, niejeden został trafiony strzałą, ale znaczna część dotarła jednak na drugi brzeg i ustawiała drabiny.

Robin Hood czuwał i obserwował ze swojej wieży.

Gdy tylko drabina została ustawiona, u jej szczytu zjawiali się obrońcy. Próbowali spychać drabiny, które stały dosyć niepewnie, bowiem pas ziemi między wodą a ostrokołem był bardzo wąski. Wchodzącym po drabinie żołnierzom lali na głowy wrzątek, podawany w kotłach przez kobiety, wreszcie cięli mieczami napastników.

W jednym tylko miejscu udało się trzem żołnierzom sforsować wszystkie przeszkody i wdrzeć za ostrokół. Ale drogo za to zapłacili.

Robin Hood, widząc z góry, w którym miejscu znajduje się słaby punkt obrony, zbiegł z wieży i pędził już w tamtą stronę. To Will Dostojny, rozchocony dotychczasowym powodzeniem, wysunął się nieostrożnie nad ostrokół. Nagle tuż nad jego głową świsnął kamień, wypuszczony z kuszy. Kontuzjował go w głowę i wgniół mu czapkę na oczy.

Will, krzycząc głośno zważył się na ziemię.

Nim Robin Hood zdołał dobiec do tego miejsca, już jeden z żołnierzy zdążył wdrapać się po drabinie w ten wyłom, utworzony w obronie. Za nim drapali się dwaj następni.

Robin Hood z rozpędu natarł na żołnierza, nim ten zdążył rozejrzeć się w sytuacji. Jednym cięciem, raniąc go w dłoń, wytrącił mu miecz, a drugim z taką siłą płątnął po głowie, że hełm żelazny pękł i żołnierz martwy zważył się na ziemię. Ale już za pierwszym żołnierzem przesadzili ostrokół dwaj następni. Obaj natarli jednocześnie na Robin Hooda, chcąc pomścić śmierć towarzysza. Zaszczękały miecze. Nikt z obrońców nie mógł przyjąć z pomocą Robinowi, bo żaden ani na chwilę nie mógł opuścić swego stanowiska.

Najbliżej był Til Chucherko. Ale ten nie czuł w sobie dość odwagi, aby mieszać się do walki wręcz. Rozmyślał raczej, czy by nie drapnąć w bezpieczniejsze miejsce, bo mu za tymi trzema zacznie walić się do środka hurma dalszych żołnierzy.

Na wszelki wypadek wyjrzał ostrożnie przez ostrokół, czy po drabinie nie pną się już następni.

Na szczęście jeszcze nie! Chociaż szeryf, dostrzegłszy, że pierwszy wyłom jest już dokonany, nakazywał żołnierzom forsować to miejsce. Kilku żołnierzy już biegnęło do wolnej drabiny.

Til badał przez chwilę sytuację, a wreszcie desperackim ruchem pchnął drabinę tak silnie, że całym ciężarem zwała się do rowu.

Tymczasem Robin Hood rozprawiał się ze swymi przeciwnikami. Jednego pchnął ostrzem miecza w gardło, aż krew bryzgnęła strumieniem. Żołnierz rozkrzyżował ręce, wypuścił miecz i zważył się na ziemię. Drugiego opuściła nagle odwaga, rzucił broń, podniósł ręce do góry i stał nieruchomo, czekając na śmiertelny cios.

Robin Hood zawahał się. Nie mógł uderzyć bezbronnego.

— Jazda! Umykaj do swoich! — krzyknął.

Żołnierz nie kazał sobie powtarzać po raz drugi rozkazu. Szybko wdrapał się na nasyp, a z niego na szczyt ostrokołu.

— Skacz! — krzyknął Robin, kierując nań miecz.

Żołnierz zawahał się, ale Til, znajdujący się blisko pomógł mu do powzięcia decyzji, popychając go lekko. Jak kamień plusnął uzbrojony ciężko żołnierz

w sam środek rowu. Woda zafalowała tak silnie, że zalała pień-kładkę, a przechodzący po niej akurat dwaj żołnierze stracili równowagę i wpadli również do wody. Chwytając się za siebie wzajemnie i wciągając pod wodę, brechtali się przez pewien czas i opili wodą porządnie, zanim uczepili się zbawczego pnia.

Bitwa powoli wygasła.

Zniechęceni niepowodzeniem żołnierze, mimo krzyków szeryfa i oficerów, atakowali z coraz mniejszym zapalem. Wreszcie szeryf nakazał wycofanie wojska. Wracali, narzekając głośno, prawie wszyscy zmoczeni, poparzeni i poturbowani, niosąc zabitych i ciężej rannych.

Obrońcy również nie wyszli z tej walki bez strat. Stary Jakub Partridge był ciężko ranny. Do końca nie opuścił posterunku, ale gdy atak się skończył znaleziono go na stanowisku leżącego bez przytomności. Strzała przeszła mu piers. Wyrwał ją wprawdzie z rany, ale nie udało mu się zahamować upływu krwi i kurtka była nią przesiąknięta.

Dwu wieśniaków otrzymało też cięższe rany: jeden miał przestrzeloną lewą rękę, a drugiemu strzała przeszła policzek. I ci dwaj, mimo ran, do końca walczyli na swych stanowiskach.

Kontuzja Willa Dostojnego okazała się niezbyt niebezpieczna, ale chodził on z owiazaną grubo głową i robił cierpiętniczą minę. Poza tym jedna z kobiet złamała nogę, upadłszy nieszczęśliwie z nasypu przy częstokole i jeden chłopak poparzył się dotkliwie wrzącą wodą.

Dla rannych urządzono szpital we dworze. Kobiety czuwały nad nimi i opatrywały ich rany. Zresztą ranni trzymali się dobrze. Tylko pan dworu, Jakub Partridge nie odzyskiwał przytomności. Stracił on wiele krwi i ledwie kołacząc się w nim życie można było liczyć na godziny.

Po odparciu ataku obrońcy byli jak najlepszej myśli co do dalszego przebiegu oblężenia. Ale Robin Hood nie podzielał tego radosnego nastroju. Z nachmurzoną twarzą przyglądał się z daleka, jak mężczyźni pomagali kobietom w przygotowywaniu posiłku, który wszystkim słusznie się należał, jak gwarzyli sobie wesoło, przekpiwając z siebie wzajemnie, odtwarzając poszczególne fragmenty walki.

Robin spodziewał się, że szeryf nie da za wygraną. Ma przecież możność ściągnięcia posiłków, ponowienia ataku wzmocnionymi siłami. A wtedy... trudno się ludzić. Prędzej, czy później dwór musi paść.

— Trzeba coś wymyśleć, bo inaczej czeka nas wszystkich tutaj straszna śmierć z rąk oprawców szeryfa — mruknął pod nosem.

W tej chwili podszedł do niego Edward, który trzymał straż na wieży wartowniczej.

— Robinie — powiedział widocznie zafrasowany — do obozu naszych nieprzyjaciół przybył jakiś nowy oddział. Pewnie z trzydziestu ludzi.

— Nie mów o tym nikomu! — rozkazał Robin Hood. — Trzeba się bardzo śpieszyć — dodał, kierując te słowa raczej do swych rozmyślań, niż do towarzysza.

Wszedł z Edwardem na wieżę wartowniczą i przyglądał się bacznie obozowi. Nowoprzybyły oddział ustawiał sobie właśnie namioty.

— Dziś zmęczeni są drogą, nie ponowią więc z pewnością ataku. To dobrze! Będziemy mogli trochę odpocząć.

Zszedł z wieży i spacerował w milczeniu po podwórzu, głęboko nad czymś rozmyślając.

— Czemuż to Robin taki zasepiency? — zwrócił się Ben Piekarz z zapytaniem do Ryszarda.

— Sytuacja nie jest wcale wesoła — odparł krótko zagadnięty.

— Nie ma powodu do zmartwień. Przecież szeryfowscy ludzie stracili kilkunastu zabitych, a prawie połowa wojska nie zdolna jest na pewno do walki.

— Jednak są od nas przynajmniej dwukrotnie silniejsi — twierdził Ryszard.

Frasobliwe myśli nie psuły jednak apetytu Robinowi. Gdy spóźniony obiad był wreszcie gotowy, machał równie dzielnie i skutecznie łyżką po misce, jak w czasie bitwy mieczem po nieprzyjaciółach.

Zmrok już zapadł na dobre, gdy skończyli posiłek. Robin Hood wyznaczył kolejność straży przy ostrokołe, nakazując tym, którzy nie pełnili warty, udać się na spoczynek. Sam z Ryszardem chodził jeszcze długo po podwórzu, układając mu coś z zapalem.

ROZDZIAŁ XV

w którym Robin Hood bezkarnie myszkuje po obozie szeryfa.

Noc wisiała nad lasem Sherwood, nad dworem Partridge i nad obozem oddziałów obłączniczych. Spał las, dwór i obóz. Ale wszędzie — mimo pozorów całkowitego uspienia — czuwano jednak.

W namiocie szeryfa Nottingham odbywała się narada wojenna.

Na warcie strażniczej dworu Partridge stał Robin Hood z Ryszardem i, wpatrując się w ogniska wrogiego obozu, porozumiewali się krótkimi, urywanymi zdaniem na temat sytuacji i możliwości jej rozwiązania.

W lesie Sherwood trudno było by doszukać się jakichkolwiek śladów życia, a jednak... i tutaj byli ludzie, którzy czuwali.

Noc była dość ciemna, bezgwiezdna. Przez zwały chmur zrzadka tylko przebłyskiwało mdle światło księżyca.

— Nie mam jeszcze żadnego określonego planu — mówił Robin Hood do Ryszarda. — Ale sądzę, że nie trudno mi będzie przedostać się do środka obozu. Ten mundur, zdobyty przez Bena Piekarza, bardzo mi pomoże.

— A jeśli cię poznają... — wtrącił posępnie Ryszard.

— Trudno! Będę próbował wyrwać się im z rąk. W ciemności uda mi się to chyba. Czuwaj przy częstokole. Gdy dobiegnę, pomożesz mi, wciągniesz do wnętrza, a pogoń nie odważy się po ciemku forsować rowu z wodą. Warta tymczasem zatrąbi na alarm i cała załoga stanie w pogotowiu.

— Ano, to próbuj! Może uda ci się wywiedzieć coś, albo sprawić im jaką niespodziankę.

— Gdybym do rana nie wrócił, a w obozie nie było żadnego alarmu, będzie to oznaczać, że powziąłem jakiś plan. Wtedy waszym zadaniem będzie tylko trzymać się do mojego powrotu — zakończył rozmowę Robin Hood.

Zeszli z wieży i szli przez podwórzec w stronę rzeki. Tu była przygotowana mała łódeczka. Robin wskoczył do niej. W tej chwili jaśniejszy błysk księżycowego światła zza chmur oświetlił jego postać, przybraną w mundur królewskiego strzelca.

Ryszard pomógł mu zepchnąć łódkę na głębszą wodę. Robin schwycił długie wiosło i, manewrując nim wprawnie, wypłynął na środek rzeczki. Popłynął

z prądem na kilka stajañ, aż minął dwór, jego zabudowania i ostrokół obronny. Przybił do brzegu w miejscu, gdzie kończyła się uprawna polana i zaczynała zarosła leśna. Umiejętnie ukrył łódkę w trzcinach i wyskoczył na brzeg. Nie wahając się ani chwili, ruszył pewnym krokiem w stronę obozu żołnierzy, oblegających dwór Partridge. Jego sylwetka roztopiała się w nocnym mroku. Straże, strzegące obozu, nie czuwały zbyt gorliwie. Przecież nie spodziewały się żadnego ataku ze strony obleżonych.

Wartownik spostrzegł go dopiero wtedy, gdy Robin podszedł do ogniska.

— Czego włóczysz się po nocy? — warknął, nie rozeznając co prawda osoby, ale widząc mundur jednego z oddziałów, biorących udział w oblężeniu.

— Nie mogę spać, a w namiotach duszno — odpowiedział spokojnie Robin Hood.

— Jednym duszno, a drugim chłodno, widać, bo żłopią wino na rozgrzewkę. — mruzczał strażnik. — Nazywa się to narada wojenna. Radzą, radzą i nic poradzić nie mogą. Wstyd powiedzieć, że taka siła stoi tu bezradnie i nie może poradzić sobie z tym domkiem dla królików. Eh, ci nasi wodzowie! — machnął lekceważąco ręką.

— Czas by już skończyć tę zabawę — przytaknął mu Robin Hood — i wrócić do miasta, do gwarnych gospód, gdzie czekają na nas nasze dziewczęta. A tu — pustka, pole, las i nic więcej.

— I oni mają już chyba tego dosyć i radzą pewnie nad tym, jak szybciej zakończyć wyprawę. Przy pełnym dzbanie dobrze się radzi — gderał wartownik i wskazał ręką na największy namiot.

Robin spojrział w tamtą stronę. Akurat zasłona, zakrywająca wejście, odchyliła się. Dwóch pachołków wносиło nowe dzbany dla radzących. Robin ujrzał na chwilę wewnątrz namiotu, oświetlone płonącymi łuczycami. Dojrzał rozpostartą na ławie potężną postać szeryfa oraz otaczających go oficerów straży. Wszyscy trzymali kubki w rękach i rozmawiali głośno, z ożywieniem.

— Tacy mają dobrze! — odpowiedział strażnikowi i oddalił się powoli w przeciwną od namiotu stronę.

Strażnik poprawił ognisko i wrócił do przerwanej przez nocnego gościa półdrzemki w pozycji stojącej.

Robin Hood, przyzwyczajony do życia w lesie, do cichego, bezszelestnego podchodzenia pod upatrzoną zwierzynę, potrafił i tutaj w uspionym obozie poruszać się bez zwrócenia na siebie czyjejkolwiek uwagi.

Ani przez myśl nie przeszło szeryfowi i jego towarzyszom przy uczcie, że ten, przeciwko któremu przede wszystkim skierowana jest cała ich złość i nienawiść, którego pogwałcenie było głównym celem całej wyprawy znajduje się tuż obok nich, w odległości wyciągniętej ręki, oddzielony tylko płótnem namiotu. Nie przyszło im na myśl, że ciemna jakaś postać przesunęła się nieopstrzeżenie między śpiącym wojskiem, między namiotami i ogniskami, dotarła do namiotu wodza, przylgnęła do płóciennej jego ściany, stapiając się z nią zupełnie, i słucha z uwagą toczącej się wewnątrz rozmowy. I że tą postacią jest Robin Hood we własnej osobie.

Ucztowali swobodnie, i radzili głośno, przeplatając kielichy bohaterskimi przechwałkami i bohaterskimi radami, wiodącymi do zdobycia za jednym zamachem „kurnika Partridge“, jak nazywali pogardliwie twierdzę Robin Hooda.

Robin słuchał uważnie. Nagle drgnął i mocniej przywarł do namiotowego płótna. Usłyszał bowiem coś, co szarpnęło nim boleśnie.

Mówił jeden z oficerów, którego zachrypiły głos świadczył, że jego właściciel wypróżnił już wiele kielichów, a sposób mówienia znamionował samochwałę i pyszałka.

— Moja rada brzmi krótko. Zdobyć dwór Partridge tak, jak ja zdobyłem dwór Harper.

(Dźwięk tego ostatniego słowa poderwał właśnie Robin Hooda).

— Ha! I tam bronili się, jak wściekli. Ale ja umiem przemówić do swoich chłopców i dodać im zapału do szturm. Poza tym kazałem podpalić palisadę z czterech stron. Pożar był, że aż huczało.

— W jaki sposób podpaliłeś palisadę? — spytał inny głos.

— Kazałem po prostu naznosić suchych gałęzi i chrustu, podpaliłem stopy, a od tych ognisk przeszedł ogień na drewniane ogrodzenie — opowiadał dumnie pierwszy.

— Tutaj będzie trudno podłożyć ogień. Kanał z wodą podchodzi zbyt blisko do palisady — zauważył jeszcze inny głos.

Robinowi wydało się, że to głos szeryfa.

— Rozkażcie, szeryfie, abym sprowadził tu swój oddział. Moje zuchy mają już wprawę w urządzaniu pożarów. W mig załatwią się z tutejszym kurnikiem. Pójdą chętnie przez ogień, gdy obiecacie im cenne łupy. To dla nich najlepsza zachęta.

— Który żołnierz nie pójdzie w ogień dla łupów — wtrącił ktoś.

— Trzeba było widzieć, jak oczyszczali dwór Harper po zdobyciu go.

— Przyznaj się, że i ty oblowiłeś się nienajgorzej — roześmiał się któryś z biesiadników.

— Eh! — mruknął pogardliwie — nie dbam o takie nędzarskie łupy. Jedno tylko wziąłem sobie z podziału: dziewczynę. Warta jest więcej, niż wszystkie łachy i garnki starego Harpera.

— Ładna?

— Rzymianin porównałby ją do Diany. I dzielna, jak ta pogańska bogini łowiectwa. Broniła się nie gorzej, niż mężczyźni.

— Chłopka?

— Nie! Córka właściciela dworu, starego Harpera, który zresztą zginął w czasie oblężenia dworu.

Robin Hood musiał użyć całej siły woli, aby nie krzyknąć. Z trudem powstrzymał się od gwałtownej chęci skoczenia z mieczem w rękę na chępliwego oficera, który chwalił się zwycięstwem w walce z kobietą. Opanował się jednak, gdyż miał nadzieję, że usłyszy coś jeszcze więcej o losach Marianny.

— Musieliśmy ją obezwładnić i związać, jak wszystkich wziętych do niewoli mężczyzn.

— I związaną kobietę wiozłeś do Morton? — z drwiną w głosie zapytał któryś z oficerów.

— Proponowałem jej, by obiecała, że nie ucieknie, a każe ją zwolnić z więzów. Ale odmówiła.

— I cóż będziesz z nią robić dalej? — pytał inny głos — Co ci przyjdzie z niewolnicy, którą trzeba trzymać w więzach?

— Nie obawiaj się! — chępliwie oświadczył pierwszy. — Już ją ułagodzę. Znam takie dzikie kotki, które początkowo parszczą i pokazują pazurki, a potem jedzą z ręki. Gdy odwiedzisz mnie za dwa, trzy miesiące pozazdrościsz mi z pewnością pięknej i posłusznej niewolnicy.

